

Kiedy wolność ma znikomą szkodliwość społeczną?

14 czerwca 2014

Ćwierćwiecze? Tak, będzie o ćwierćwieczu posiadania wymarzonej wolności. Najpierw prawdziwe i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia stwierdzenie: kiedy miałem ćwierć wieku, podzielałem przekonanie wielu mieszkańców naszego kraju, że od wolności dzieli nas całe pokolenie. W 1965 roku było to powszechne przekonanie. W rzeczywistości od wolności dzieliło nas niespełna ćwierć wieku.

Mamy państwo, mamy wolność, mamy skok cywilizacyjny, nie mamy poczucia wygranej, nie ma radości. Zbyt często otaczają nas gęby wykrzywione złością. Na początku tej drogi Waław Havel pisał o niecierpliwości prowadzącej do rozgoryczenia i uczucia zawodu. U nas było gorzej. „Solidarność” miała piękną nazwę, ale była wszystkim, tylko nie solidarnością. Nadzieja, że wolność będzie automatycznie oznaczała uczciwość, była zwyczajnie śmieszna, ale gorsza od licznych przypadków nieuczciwości była podejrzliwość i przekonanie, że wszyscy politycy kradną. Radość została natychmiast zastąpiona przez nieufność. Architekci nieustającej wojny na górze zarażali innych swoją paranoją. Terapia szokowa była bez wątpienia szokiem, ale dowody, że była również terapią, pojawiły się dopiero w kilka lat później. Niewidzialna ręka rynku dość szybko zaczęła działać, ale odnosiło się wrażenie, że nikt nie wiedział o co chodzi z tym państwem w roli nocnego stróża.

Pierwsze lat wolności obserwowałem z oddalenia wiedząc, że wolność nie jest sztuką łatwą, a gromada skłóconych ojców narodu powtarza chochole tan jaki dwa pokolenia wcześniej mieliśmy po pierwszym odzyskaniu wolności. Jerzy Giedroyc pisał o Polsce rządzonej przez dwie trumny – Piłsudskiego i Dmowskiego, umierający, ponad stuletni prezydent Raczyński mówił, że boi się partyjniactwa i polskich piekielnych swarów.

Kiedy pod koniec pierwszego dziesięciolecia wolności, po dwudziestu siedmiu latach mieszkania na Zachodzie, zdecydowałem się na powrót do Polski, wszyscy moi znajomi powtarzali to samo zatroskane pytanie – „Co będziesz tam robił?” Pół żartem pół serio odpowiadałem, że założę fabrykę, że będę produkował drewniane młotki i sprzedawał je z instrukcją prowadzenia zebrania.

W języku szwedzkim od ponad trzech stuleci używany jest idiom „polski sejm”, w tłumaczeniu moglibyśmy użyć określenia Juliana Tuwima „ptasie radio”. „Polsk riksdag” to sytuacja, w której wszyscy mówią, ale nikt nikogo nie słucha i nie ma szans na osiągnięcie jakiegokolwiek porozumienia, ani tym bardziej na wypracowanie wspólnej decyzji.

Zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie uczestniczyłem w setkach zebrania z udziałem moich rodaków i dziesiątki razy miałem ochotę wyjść trzaskając drzwiami. Ile czasu można tracić na gadanie, z którego nie wynika nic, prócz głębokiej niechęci do współuczestników takiego posiedzenia? Historia tego szwedzkiego idiomu sięga początków osiemnastego stulecia, kiedy Polska była jeszcze mocarstwem, ale już znajdującym się na równi pochyłej, niezdolnym do zreformowania swego systemu politycznego i niezdolnym do obrony swoich granic.

Jakby na sprawę nie patrzeć, zebranie jest samą istotą demokracji. W roku 1876 w Stanach Zjednoczonych ukazała się niewielka książka zatytułowana: „Robert's Rules of Order”. Autorem tej książeczki był generał, Martin Robert, którego pewnego pięknego dnia poproszono o poprowadzenie zebrania w parafialnej salce. Generał zupełnie nie umiał sobie poradzić z wpadającymi sobie w słowo uczestnikami spotkania i wyszedł zdruzgotany.

Postanowił, że nigdy więcej nie poprowadzi żadnego spotkania z cywilami, póki nie nauczy się wszystkiego o zasadach parlamentaryzmu. Z pedantyzmem zawodowego oficera przez kilka lat zbierał materiały i porównywał podstawowe procedury

parlamentarne, ze zdumieniem obserwował pewien woluntaryzm w interpretacji tych procedur i postanowił to wszystko uporządkować. Napisał książkę, która wydawana jest do dnia dzisiejszego (sprzedano grono ponad pięć milionów egzemplarzy) i która przez prawie sto lat była częścią programów szkolnych w Ameryce.

Elementarnych zasad parlamentaryzmu uczy się dzieci we wszystkich krajach zachodnich chociaż programy są różne, a i wyniki tego nauczania nie zawsze są do siebie podobne. To zróżnicowanie może być uzależnione nie tylko od samych programów, ale i od historii i tradycji danego kraju, od modelu rodziny, religii i typu najczęściej spotykanych organizacji społecznych. W Skandynawii, w której nigdy nie było pańszczyzny, a chłopci mieli swoją reprezentację w parlamencie już w czasach średniowiecza, w której spółdzielczość ma nie tylko bardzo długą historię, ale do dziś stanowi trzecią część gospodarki, w której model rodziny oparty jest na zasadach równości i partnerstwa, zebrania nie są mniej nudne niż w innych krajach, są jednak znacznie mniej chaotyczne i bardziej skuteczne. Istnieje tu również głęboko zakodowana odraza do pustego gadania. W krajach skandynawskich przygotowanie pracy (ale również przygotowanie zebrania) zajmuje z reguły więcej czasu niż sama praca (czy zebranie). Uczestnicy zebrania otrzymują niezbędne materiały na piśmie (często na dzień lub dwa przed samym zebraniem), z reguły wiedzą o czym chcieliby rozmawiać i co chcieliby osiągnąć.

Jeśli ktoś tego samego dnia uczestniczył w zebraniu Szwedów i Polaków ma wrażenie obcowania z dwoma gatunkami niebywale różniących się istot. W Polsce ani dom rodzinny, ani szkoła, ani kościół nie przygotowują nas do roli uczestnika partnerskiej dyskusji. Nawet jeśli wierzymy w demokrację, nie mamy pojęcia o podstawach jej funkcjonowania, a już z pewnością świat ludzi wolnych i równych nie jest dla nas naturalnym środowiskiem. Naszym naturalnym stanem jest podejrzliwość, głębokie przekonanie, że słowa znaczą co innego

niż znaczą, że ktoś próbuje mnie oszukać i wykorzystać, że każde zebranie jest tylko przykrywką dla jakichś zakulisowych rozgrywek. W naszym życiu publicznym paranoja walczy o lepsze ze schizofrenią.

Nie możemy nawet marzyć o demokracji w państwie, jeśli nie jesteśmy w stanie wprowadzić demokracji do naszej kuchni, do parafialnej salki, klubu sportowego czy stowarzyszenia przyjaciół sikorki modrej czyli modraszki zwyczajnej. Czy z naszą tradycją narodową jesteśmy po prostu skazani na wieczną kontynuację tego makabrycznego pustosłowia? Wierzę, że nie. Konieczne są jednak społeczne naciski na rzecz wprowadzenia lekcji parlamentaryzmu do programów szkolnych i to już na dość wczesnym etapie, tak aby przynajmniej zacząć redukować powszechną obecność „polskiego sejmu” w naszym życiu.

Wszyscy śledzimy debaty naszych reprezentantów w Sejmie i wszyscy jesteśmy zmęczeni tym ciągnącym się bez końca reality show. Czasem, kiedy czytając kolejną wypowiedź jakiegoś posła czy posłanki mówimy ze złością „dom wariatów”, warto zadać sobie pytanie, czy umieliśmy przygotować nasze dziecko do partnerskich dyskusji, czy umielibyśmy poprowadzić w klasie zajęcia na temat przygotowania i prowadzenia zebrań, czy sami umiemy brać udział w dyskusji?

Nasze wielkie dyskusje o demokracji mają ograniczony sens, jeśli nie będziemy nawet próbowali walki z „polskim sejmem”.

Wolność zaczyna mieć znikomą szkodliwość społeczną dopiero kiedy przestaje być chaosem. Ludzie urodzeni w wolnej Polsce kończą studia i zaczynają kariery zawodowe. Wścieka ich „polski sejm”, mają dość tego ptasiego radia, czasem uciekają z tego kraju, powtarzając po przodkach mantrę, że tu się nigdy nic nie zmieni.

Niedawno ktoś zapytał, czy założyłem tę fabrykę młotków z wiśniowego drewna. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że brak popytu. Kolejne pokolenie wybrało „polski sejm” i czeka

na mocnego człowieka, który przyjdzie i zrobi porządek.

Na 25-lecie wolności wydawnictwo „Frona” wydało książkę pod tytułem „Kamieniem w komunę”. Najlepsi w rzucaniu kamieniami w bliźniego są muzułmańscy marzyciele o wolności. Wolność osiągnięta przez rzucanie kamieniami w bliźniego z definicji nie może mieć znikomej szkodliwości społecznej, nigdy również nie daje poczucia prawdziwego zwycięstwa. Zazwyczaj rodzi nowe marzenia, o silnym człowieku, który przyjdzie i zrobi porządek.

Na początku drugiego akapitu wspomniałem o skoku cywilizacyjnym. Obserwuję ten skok przez pryzmat rozwoju małego miasteczka, przez dziesięć lat prowadziłem tu zajęcia z młodzieżą, która urodziła się tuż przed lub tuż po odzyskaniu wolności. Rówieśnicy tej naszej wolności to często pierwsze pokolenie z wyższym wykształceniem, pierwsze pokolenie, które mogło wykorzystać swój intelektualny potencjał, pierwsze pokolenie, które nie walczy o wolność, ale mozolnie uczy się jej używania. Z tego pokolenia część chodzi w marszach niepodległości i ciska kamieniami w bliźnich, część dryfuje, nie zawsze wiedząc dokąd niesie ich fala, a część (całkiem spora) konsekwentnie szuka drogi do świata, w którym parlamentarna demokracja przenika życie codzienne, jest kulturą miejsca pracy, kulturą współżycia z innymi, kulturą która może kiedyś dotrzeć nawet do życia politycznego.

Autor: Andrzej Koraszewski

Źródło: [Listy z naszego sadu](#)